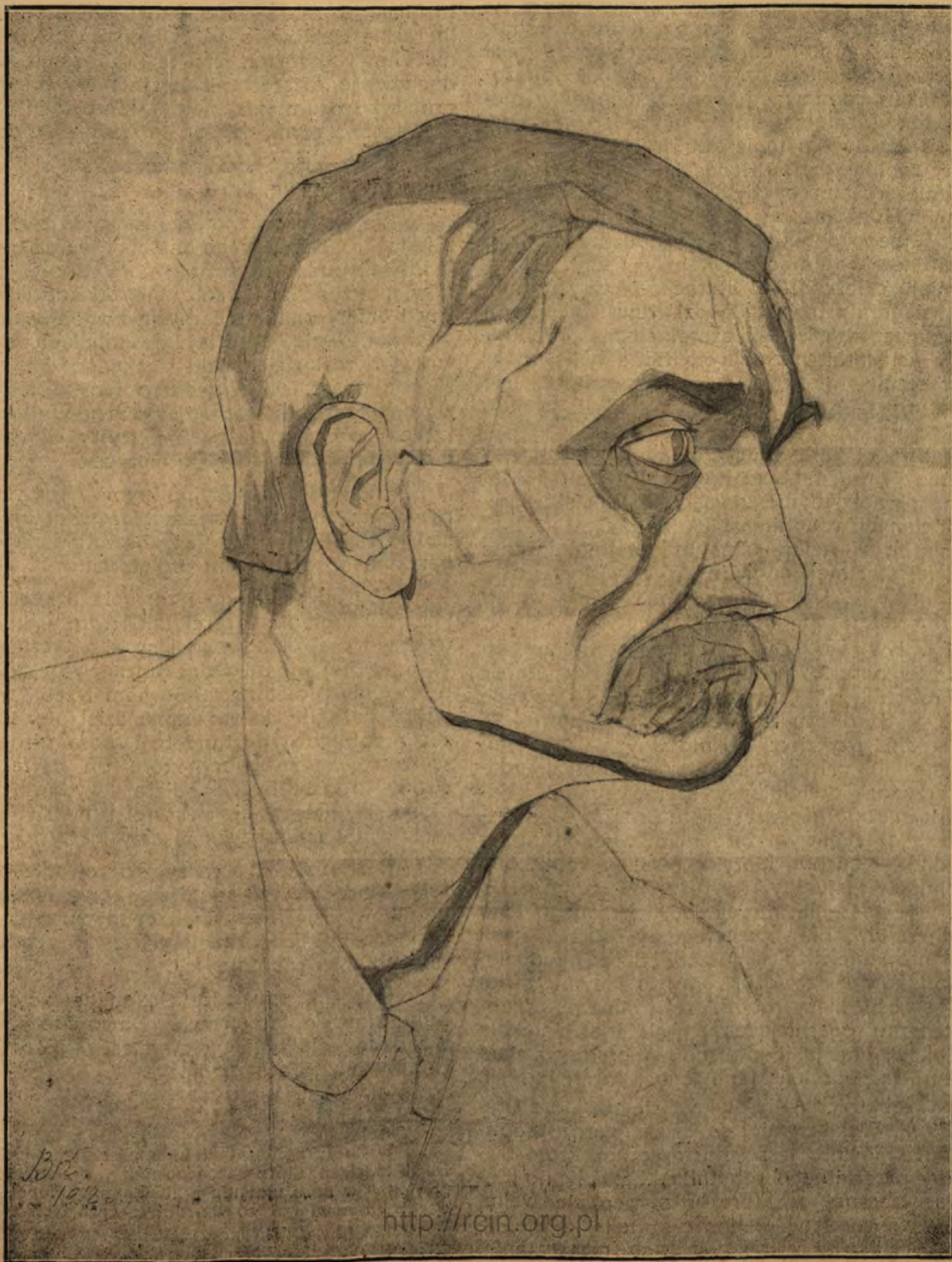


ŚWIATŁO

TYGODNIK ILUSTROWANY LITERACKI, ARTYSTYCZNY,
~ SPOŁECZNO-POLITYCZNY, POPULARNO-NAUKOWY. ~



BOLESŁAW
KUŹMIŃSKI

<http://rein.org.pl>

GŁOWA
ROBOTNIKA

„Księgarnia robotnicza“*)



a niedzielnym targu w każdym większym mieście znajduje się zawsze rozpostarta gdzieś w kącie ruchoma księgarnia. — Porozkładane na ławach, deskach lub wprost na ziemi rzucają się każdemu w oczy jaskrawe okładki książek. Okładki te zdobne są przeważnie w rysunek, mówiący o zawartości dzieła. Tu stoi w wielkim kapeluszu, w płaszczu, romantycznie zarzuconym na ramię, wielki bandyta — Kartusze, dumnie wsparty na rękojeści ogromnych, sterczących z za pasa rewolwerów. Tu wygląda z okładki napół obnażona postać Uwiedzionej z rozrzuconym w nieładzie włosom i załamanymi w rozpacz rękoma. Tam znów widać pełną majestatu arystokratycznego Hrabinię, zapinającą na łabędziej szyi naszyjnik, który kradnie później bandyta. Gdzieindziej rzuca się w tę scenę strasznej walki Sherlocka Holmesa lub innego detektywa. Gdy dodamy do tego kilka „senników”, tłumaczeń kabaty i t. p. — będziemy mieli całość działu literacko-beletrystycznego. — A księgarnia ta jest do dziś dnia wyłącznym prawie dostawcą książek dla szerokich mas robotniczych. Do księgarni normalnych trafia tylko wyrobiony społecznie robotnik — reszta zaopatruje się w tę literaturę, jaką znajduje w handlu księgarskim na targu.

Literatura ta, jak widać z okładek i tytułów — to wyłącznie prawie tandeta kryminalistyczno-sensacyjna. Ona dzisiaj jedynie dociera do rąk szczególnie młodocianych robotników i robotnic.

A książka w wielkim stopniu kształtuje dążenia jednostki, jej stosunek do różnych zjawisk, jej osobistą moralność — jednym słowem, wywiera wpływ ogromny na całe życie duchowe.

Jaki wpływ wywierają utwory wspomniane, łatwo sobie wyobrazić. Bohaterstwo i szlachetność odkrywa robotnik w Kartuszu-bandycie, — odwagę i dzielność w Sherlocku Holmesie — detektywie, — obraz cierpień fizycznych i moralnych daje mu „Uwiedziona“ lub „Hrabina Żebraczka“, fantazję podnieca i przenosi czytelnika w krainę cudów „Naszyjnik Księżniczki“. A wszystkie te broszury i książki pisane są obrzydliwym żargonem, wydane tandennie, brzydko — cuchną fabryką pisarską, obliczone są na najniższe instynkty.

Jeśli spustoszenia moralnego, szerzonego tego rodzaju literaturą, nie spostrzegamy odrazu, jeśli wpływ jej nie zniekształcił jeszcze dusz młodocianych robotników — zawdzięczamy to jedynie świeżości, odporności klasy robotniczej i silnemu prądowi społecznemu, ogarniającemu proletariatu. Ale dla ilu występków, dla jakiego brudu moralnego stała się literatura ta podścieliskiem, tego nikt nie określi.

Klasa robotnicza nie stykała się prawie z literaturą piękną. Wyjątkowymi są dzieła, bardzo popularne i stare, głównie treści historycznej, które trafiły do izby przeciętnego robotnika. Całe piękno literatury współczesnej, w której rozgrywa się walka o duszę, o wewnętrzne piękno człowieka, o wielkie cele jego życia, w której dokonywa się rozszerzanie,

wzbogacanie duchowej kultury ludzkiej — dla klasy robotniczej dotąd jest niedostępne.

Nie było wysiłku, zmierzającego do rozpowszechniania literatury pięknej wśród proletariatu. Ci, którzy szli w masy robotnicze ze słowem i piśmem, głoszącą nową erę życia społecznego, którzy budzili masy robotnicze do świadomego życia — dawali robotnikowi oręż bezpośredniej walki: popularyzację nauki społecznej, dającej zrozumienie zadań, leżących przed proletariatem, lub przyrodniczej, rozbijającej mroki zabobonów i przesądów. Utwory literackie traktowało się tylko, jako czynnik agitacyjny. Innej, głębszej, istotnej roli pogłębienia życia duchowego, rozszerzenia horyzontów duchowych, odczucia i rozumienia piękna, które daje czytelnikom dobre, artystyczne dzieło literatury — nie dostrzegano.

I literaturę znała, rozkoszowała się jej płodami tylko inteligencja.

Ale potrzeba znalezienia po za swoim życiem z jego troskami, pragnieniami i walką, po za sobą u innych ludzi, wyrazu tychże uczuć, myśli i czynów, potrzeba oderwania się od codziennej szarzyzny i przeniesienia się myślą i wyobraźnią chociażby w świat życia bardziej doskonałego, pełniejszego w swym rozkwicie, gdzie troska, upadek i walka posiadają wyraz jasny, wyodrębniony z pośród innych zjawisk oraz cały szereg innych pobudek, popychających do czytania dzieł beletrystyki i poezji, działały i działają w masach robotniczych.

Przemysł sensacyjno-kryminalistycznych utworów potrzebom tym wyszedł na spotkanie i do dzisiaj je zaspokaja, panując absolutnie na rynku księgarskim, obsługującym proletariatu.

Aby wyprzeć go i zastąpić dziełami cennymi, jak pod względem treści tak i formy artystycznej — trzeba dzisiaj planowego i systematycznego wysiłku. W pracy tej muszą wziąć udział wszystkie kulturalne żywioły proletariatu. Bowiem trzeba wznieść potrzebę dążenia do poznania dzieł pięknych i wskazać robotnikowi na tandetę i moralne niechlujstwo, szerzone przez utwory, które on czyta. Z drugiej strony musi być podjęte wydawnictwo taniej biblioteki literackiej, w której znalazłyby się przepiękne utwory naszych pisarzy i artystów obcych.

Rozbudzenie, a raczej skierowanie na właściwe tory upodobania w literaturze, oraz dostarczenie robotnikowi dzieł literackich cennych, a nie drogich — to jedno z najpoważniejszych zadań rozwoju kulturalnego mas robotniczych.

Robotnik musi osiąść, opanować cały dorobek kulturalny społeczeństwa. Da mu to siłę duchową, niezbędną dla trwałego zwycięstwa pierwiastków kulturalnych, które sam niesie.

Z. Z.

*) Chcąc pomóc czytelnikom naszym w doborzeniu książek literackich, które każdy powinien przeczytać — redakcja „Światła“ w porozumieniu z „Księgarnią Robotniczą“ udziela wszelkich rad i wskazówek, dotyczących tych zagadnień.

Prosimy o listowne zwracanie się pod adresem Adm. „Światła“, Wspólna 17.

WYSPA ZAPOMNIENIA.

10)

V.



niec żegluga! Już od tygodnia wrzał głucho w powietrzu nieprzerwany, z daleka przychodzący huk. Zwał się tam i dniem i nocą gdzieś potężny ciężar wód. Koryto rzeki zwężało się, płaskie brzegi zaczęły się wznosić z obu stron, wreszcie zakryły świat. Krętym korytarzem skalnym po-

sował się mozolnie naprzód, wytrwale przemagając niespokojny nurt.

Aż dotarł do miejsca, gdzie woda pieniała się i wrzała, grając wśród kamieni i rwała potężnie, spychając łódź, drwiąc z wysiłku wiosł.

Ucieszył się Jorg, bo oznajmiała się upragniona kraina, ku której dążył oddawna w niemałym trudzie. Tam w głębi wąwozu już huczy wodospad, zlewający się z pierwszego tarasu gór.

Witajcie, góry!

Z radością gotował się na nowe trudy. Otucha wiał rzeświejszy powiew od gór. Inne tu żyły drzewa, krzewy, trawy i kwiaty. W naturze znać już było opamiętanie i spokój. Po rozszalałym chaosie dżungli wypoczywała dusza, jak po uporczywym, ciężkim śnie, jak po wyczerpującej gorączce. Nie bolał więcej niepokój, płynący z ciągłej przemocy wrażeń i z ich nieprzebranego nadmiaru. Nie było i tu ubogo. I tu paliło słońce, a ściany skalnego koryta barwiły się bujnym życiem, które pleniło się w każdym załamku skały, zwisało w powietrzu, krzewiło się we wodzie. Ale uboższa gleba hamowała rozpasanie, narzucała przyrodzie powagę.

Stała się spokojnym kobiercem miła szara zieleność, obce i nieznanne rośliny przypominały nieco to, z czym zrosła się dusza w ciągu długiego poprzedniego życia. I myśli pogodne i ciche wracały ku minionej przeszłości bez paroksyzmów żalu i zwątpienia. Łagodnie, karta za kartą, rozpowijały się, jak książka, opowieści o czemś zmyślonem.

Jorg oglądał się poza siebie na kraj dżungli, który przebrnął w mozole, jak na czas opętania i choroby. Szaleństwo biło od tych gąszczów i krzykiem a zgłębkami rozpasanego stworzenia, trującym wyziewem bagien, poczwarnością swoich wszystkich zjawisk zabijało człowieka, mordując go bez litości, z dnia na dzień, nie dając mu chwili przerwy i wytchnienia.

Nie wróci tam już nigdy.

Dusza wydzieriała się w nim ku górom. Nadejdzie dzień, kiedy stanie na szczycie i rzuci oczami hen, w dal — na tamtą stronę, skąd codziennie przychodzi nowe słońce. Pozna cały swój świat, ogarnie go i zrozumie odrazu. Odgadnie swoją dolę — czy sądzonem mu jeszcze powrócić do ludzi, czy też zostać nazawsze ze sobą samymi. Jeszcze nie wiedział.

Kochał coś i uwielbiał w swojej samotności, przywykł do jej bezgranicznej swobody, błogostawił ją, śpiewając na jej cześć hymny dziękczynne. Zostałby już tak nazawsze...

Gdybyż nie zjawili się tylko ludzie! Czasami w godzinie pokusy i trwogi modlił się: — Zostaw-

cież mnie nareszcie w spokoju! Nie przychodźcie już! Niech nie ujrzę nawet waszego cienia, ani śladu! Niechże raz zapomnę!

W ciągu całych miesięcy żył lekko bez myśli i bez żadnego zachcenia. Jak wolny ptak niebieski, za którego troszczył się i myślał Stwórca, nie liczył godzin ani dni. Nie obrażał się za siebie wstecz, ani nie zaglądał w przyszłość. Ale rzadziej, częściej z byle przyczyny, lub bez żadnego powodu nadchodziła stara zmore-troska: przypominał się porzucony świat, grozili swoim najściem przekłęci ludzie.

I wówczas odmieniało się spokojne szczęście na bezpłodne marzenia, na sny okropne i najokropniejsze ze wszystkiego rozpatrywanie tego, co przeminęło, umarło na zawsze, a nie mogło, nie mogło zejść z pamięci. Śnili się ludzie, tuż, tuż czyhający na niego, krwawiły żale za tem, co nigdy nie wróci, ciążyły błędy, szaleństwa, zbrodnie...

Palita go, jak wytrawiona w mózgu gorącym żelazem, wizja przeczysta i straszliwa.

...Oto wchodzi w życie z nieśmiałą, uroczą ufnością młodzieniec i roztwiera ramiona do losów swoich. Jakże głodny jest życia, jak pragnie czynić, tworzyć, przełamywać trudności — walczyć na śmierć i życie o prawdę! Uśmiecha się do niego sława. Wróży się miłość spłoniona i cudowna. Składa ktoś u jego stóp dary i skarby, jako wybranemu do szczęścia. Śpiewa w nim na głosów sto hymn młodzieńczej wiary w promienne swoje życie, w piękno każdego swego czynu, w braterską dobroć wszystkich ludzi...

I oto na samym progu męskiego wieku zapadł się i ugrzązł w plugawym ludzkim błocie. Nikt nie podał mu ręki. Miotał się, szarpał się, aż unurzał się śmiertelnie i zatonął. Krótki był jego młodzieńczy sen.

Zaczęły się dzieje szalone i pijane. Heroicznie okropne w wysiłkach i próbach. Kłamane i siejące krzywdę — gdy tylko sięgał po swoje ludzkie prawa do istnienia, gdy zamarzył o wytchnieniu. Gdy na chwilę zapominał o tem, co było.

Budził się i znowu uciekał od ludzi. Uciekał od jednych, przychodził do innych. Nie zdołał dźwignąć swej samotności, ani uciec od siebie. A między ludźmi wlokła się w ślad za nim cudza krzywda. A nie był on z rodu mocnych, którzy potrafią iść przebojem i deptać.

O ty, bezlitosna, wszystko wiedząca pamięci... O sumienie!

Próbował wszystkiego. Świat obiegił dookoła, uciekając od siebie, goniąc chimere zapomnienia. Aż zlitował się los i wyrzucił go na ten brzeg. Teraz żyj, odpocznij!

Dźwignął się z nędzy swojej i o niczem nie marzył, jeno, żeby już tak zostało aż do końca.

A któż wie, czy jutro nie spotka wroga, człowieka? Co obaczy, gdy wędruje się na Swój Szczyt, „który widzi wszystko“. I milczy?

Nie chciał już oszukiwać sam siebie. Próbował i tego. Wszak może się zaszyć gdzieś w gęstwinie, zagrzebać się w niedostępnej czeluści wyspy i tam pozostać do śmierci, niewykryty i wolny. A choć posłyszysz głos ludzki, może uciekać dalej, chronić się głębiej. Już tak czynił.

Nie zazna spokoju i tutaj, dopóki się nie upe-wni, że wyspa ocalenia i on na niej oderwani są od

reszty świata, odgrodzeni pustynią wód, zapomniani od wieków i na wieki.

Czekała go ciężka praca. Wyszukać miejsce na nową siedzibę, przenieść tam cały ładunek z łodzi, urządzić się, zaopatrzyć się i rozpocząć wreszcie wędrówkę ku góróm, zagłębić się między ich chaotycznie spiętrzone ściany, wąwozy i turnie. Co go czeka na tej drodze?

A co go czeka na szczycie?

Powyżej wodospadu w ścianie wapiennej, obrośniętej zielenią w każdym załamku, widniały gęsto mniejsze i większe pieczary, wykruszone przez wodę w ciągu tysięcy lat. Ich ciemne otwory półokrągłe lub ostrołukowe, obrośnięte pnączami, czerniały, jak okna starego opuszczonego zamczyska.

Wrzało w tych ruinach życie mnogiego ptactwa, gnieźdzącego się po wnękach. Roje ich unosiły się w ciągu całego dnia tam, w górze. Znikały w jaskiniach i wypadały z nich, krążyły stadami w powietrzu, kwiląc, lub obsiadały nieskończonemi rzędami gzymsy skalne, rysując na białej skale smugi i girlandy wszelkich barw. Płoszyły je, spędzając je wciąż i przepędzając, brodate kozły o potężnych rogach, zagiętych ku tyłowi. Zdumiewająco lekko po niewidzialnych drogach przebiegały wzdłuż i wpoprzek straszliwie stromą, gładką ścianą, chodząc swobodnie po groźnych wyżynach, spuszczać się i podnosząc, igrając i prześlizgając się nawzajem. Z dołu wyglądały one, jak muchy, łączące po białym murze.

Jorg budował sobie dom opodal od ściany w cieniu odosobnionej kępy jakichś drzew iglastych, których woń żywiczna przypominała mu lasy straconej ojczyzny. Tuż sączył się mały strumyczek, który zbiegał w dół i ginał w trawach.

Miejsce to wraz z gajkiem drzew tworzyło niezbyt rozległy, równy taras, przerosły kolczastymi krzakami i zasiany białymi kamieniami płaskimi, połupanami na płyty.

Z tych kamieni budował sobie chatę. Pracował z namiętnością niestrudzenie. W rześkim, chłodniejszym powietrzu czuł w sobie dawne siły. Po nocach zimno dawało się dobrze we znaki, a zresztą zbliżała się pora deszczów, trzeba było do tego czasu skończyć schronisko, zgromadzić zapasy. Należało się związać.

Ale w gorączkowej jego, niezmordowanej ochocie do pracy było i coś z zapalczywości i uporu dziecka, które mozoli się z przejęciem nad budowlami z piasku, z błota, z byle czego i płacze, gdy je odrywać. Jorgowi nikt nie przeszkadzał w zabawie.

Wróciła pogoda myśli. Nic go nie napastowało na nowem miejscu. Ani widma przeszłości, ani twoga przed jutrzejszym dniem, kiedy to zniemacka zjawić się mogli ludzie i zabrać cały jego spokój, zburzyć samotne szczęście.

Spokojnem okiem spojrzął na bezmierny obszar oceanu, który z tej wyżyny rozlewał się w dal i kędyś, jakby wwyż, zdając się wznosić bez końca, wpierając się w niebo na krańcach horyzontu. Jego sine pustkowia, posępne i jednostajne, koilo wszelkie obawy. Jego ogrom wmawiał i upewniał, że nie masz w tej stronie nic, jeno wodę i wodę od wybrzeży tej wyspy aż do kresów świata.

Wyraźnie, jak malowane na mapie, rysowały się zatoki i cypłe wyspy. Czerniały przestrzenie lasów,

srebrzyły się potoki, wzgórza i doliny zlewały się w jedną równinę. I tam, gdzieś, gdzieś, maleńkie jak okruh zwierciadła, świeciło się znajome jezioro, z niedostrzegalną wysepką, na której w gęstwinie drzew ukrywał się tajemny ogród orchidei.

Andrzej Strug.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M A J.

O czym tu pisać, gdy wszystko jest wierszem
I niebo z ziemią dziwnie się rymuje,
Kiedy nic każde jest od nieba szerszem,
A w nogach pieśni i hymny się czuje!

O czym tu mówić, gdy wszystko jest dziwem,
Jakby w arabskiej, pełnej cudów bajce,
Gdy każde kłamstwo staje się prawdziwem
I gdy świat cały snem jest w pstrej kitajce.

I cóż tu pisać! Nic. — Siąść na uboczu,
W parku, i patrzeć jak idą panowie...
Panie... Nie wierzyć prawdzie własnych oczu
I pytać siebie: Jakże się to zowie?

W. Horzyc a.

CHANSON (Piosenka).

OSCAR WILDE.

Gołąbka biała i pierścień ze złota —
To ciebie godne są dary;
Mnie słup i stryczek, gdzie zwisnę niecnota —
Dla twego raba — stryk szary.

Dla ciebie z kość słoniowej pokoje,
(Patrz, jakie białe róż płatki)!
Mnie na spoczynek wazkie łożo moje
(Białe, o białe jak — kwiatki)!

Dla ciebie mirty i jaśmin nadobny,
(Cudnyż bo szkarłat różany)!
A mnie rozmaryn i cyprys żałobny,
(Cudniejszy mi krzew ruciany)!

Tobie trzech panów, zalotników możnych,
(Ruń kryje kopiec grobowy)!
A mnie trzy kroki wśród piasków przydrożnych,
(Lilje zasadźcie u głowy)!

Przełożył W. Horzyc a.



ZATRACENIEC.

I.

Piją.

Młodzieńcy ramion zawadjackim podrzutem trącają się puharami, jakgdyby włóczniami bili o tarcze i, niby pożar gasząc, leją co tchu w łakome gardziele strugi pianistych napojów.

Mężowie dojrzali, w zażywaniu rozkoszy bieglejsi, półkulistemi okrągłemi ruchy niosą do ust czary klejnotami sadzone, po kropelce złociste smakuja nektary.

Starce zgrzybiali, drżących swych rąk niepewni, chylą nad stołem łyse czerepy, bezzębnymi wargami przypadają do brzegów czasz, młaszcząc i cmokając, gdyby niemowlęta u piersi matczynej, krzepią się trunków zdradliwą mocą.

Piją.

Jak mgła poranna z mokrych łąk unoszą się w górę winne opary, czerwienią się lica, rozluźniają się pasy.

Na oko weselą się wszyscy szeroko, buńczucznie, swobodnie.

Bogdać tam!

Beztróskim, zda się, wybuchając śmiechem, pijacką zawodząc piosenką, trefnym bryzgając konceptem każdy z besiadników czujnie i pilnie baczy, by miary nie przebrać.

Ukradkiem, zukosa każdy śle na zwiady i przespłegi wzrok swój tam, gdzie z wyniosłości tronu góruje nad ucztą królowa.

Na dumną twarz pani, na czoło wyniosłe zlatują się chmarą niepewne, przebiegłe, natrętne spojżenia; zajęczemi skoki wkoło niej kluczą, obiegają, kołują i drepczą, z blasku rumieńca, z brwi jedwabistych układu, odgadnąć jej myśli próbują.

Napróżno.

Niepojęta, tajemnicza, zadumana, cicha tak obcą się wydaje królowa w tłumie rozbawionym, jakby już płyta grobowa dzieliła ją od żywych, świętą się zdaje i archanielską.

Ba, aleć to przecie dziś właśnie, w samo południe, na podwórcu zamkowym zbatożone dzikie żrebce, błyskając w słońcu lśniami kadłuby, darty na strzepy nagie ciało ostatniego królowej kochanka.

Kwicząc i pianę tocząc z pysków, zestrachane stepowce biły zadem w mleczną biel aksamitnej skóry skazańca, targaly prężne mięśnie, rwały mocarne ścięgna, aż pękł łańcuch żywy spinający rozrukane bachmaty i w cztery świata strony skoczyły zwolnione rumaki.

Na własne oczy widzieli besiadnicy ów odwet królewski za winy nieznanne, przecie nikogo to lękiem nie przejmuje, każdy w swem sercu kolebie nadzieję, że może i jego królowa do łoża zaprosi.

I oto drgnęły usta Miłościwej Pani — skinęła ręką; na dany znak poskoczył paż dorodny, młodzieniec cudny, jak cherub.

I zamierzeniom swoim nawspak, przemożną zdjęci ciekawością, w pół słowa urwali besiadnicy rozhowory, uszami strzygąc, zwrócili żrenice nalane zawiścią w stronę szczęśliwca.

Lecz sucho ozwała się królowa:

„Koniucha mego tu przyprowadź!”

Zgasł paż odrazu i z wyciągniętą twarzą poszedł rozkaz wypełnić.

Lecz niewiele osunęło się w klepsydrze ziarenek piasku, gdy znów się ukazał na sali, wiodąc za sobą stajennego pacholka,

Smukły i gibki jak jeleni, szedł koniuch, wysoko dzierżąc głowę, czarnemi kędziorami osypaną. Stał przed królową, nisko pochylił smagłą a chudą twarz, lecz wyprostował się wnet i kły swoich oczu posępnych zatopił w oblicze Pani.

Zatrzepotała królowa, jak ptak w sidłach, bezcenny swój pierścień, w katedrze przez biskupów święcony, na palec koniucha wkłada, niech kraj cały się dowie, z kim noc dzisiejszą spędzi.

II.

W narożnej baszty komnacie tajemnej wybraniec królowej czeka — nadejdą za chwilę poufni dworzanie, wprowadzą w pokoje władczyni.

Twardem czołem przywarł koniuch do zimnych okna krat, palcami, zgiętymi, jak szpony krogulcze gniecie sztaby żelazne, milcząc sam z sobą się pasuje.

Gdyby — miecz!

Powitałby śmiechem złowieszczym układnych rajfurów, uderzyłby na nich z okrzykiem bojowym, napłatałby łbów w trefionych puklach...

Bezbronny jest.

Pod ręce go wezmą w pokłonach, pochlebiać mu poczną i kadzić, paradnie ze swiłą przed sypialni próg zawiodą...

A ona?...

A ona go jutro kiesą dukatów obdarzy, do stajni z powrotem odeszle.

Zaś gdyby się oparł zachciance królewskiej, wnetby go wzięli oprawcy, z szyderstwem, z drwinami zaćwiczą głupiego pacholka.

Tedy niemasz rady: wstąpi dziś do sypialni królowej, ale już stamtąd żyw nie wyjdzie, zabije siebie i ją.

Jakżeż jej nienawidzi!

Codziennie przez nią szedł na męki i biedne serce swoje kładł na węgle rozżarzone. Gdy zdala ujrzał ją, skowyczał, niby pies na łańcuch wzięty, zaciskał zęby, aż krew mu z wargi tryskała.

Daremnie! Nie sprostał potędze miłości. Ileż to razy mrącemi z bólu oczyma całował każde zagięcie jej szat; ruch jej każdy i skinienie, wszelki skręt ciała i brzmienie głosu wypalone miał w mózgu na zawsze.

A przecie wiedział, że od dziewczki z zamtuzu plugawszą jest ta koronowana rozpustnica.

Przeto dziś za hańbę swą i cierpienia zapłaci jasnym migotem stali.

A wtem chyłkiem, znienacka błysnęła mu myśl złodziejska... W popłochu i trwodze odepchnąć ją chciał od siebie — zapóźno: tryumfalnie zachychołała pokusa nieodparta, aż zgiął się koniuch światom już, że się jej poddać musi.

Więc dobrze, niech się tak stanie: zanim śmierć sobie zada, zobaczy, co rozkosz znaczy.

W tej chwili drzwi się uchyla, wchodzą dworacy, krzywią wargi, lubieżną ociekające śliną. Poprowadzili koniucha przez ciemne korytarze, przez złotem kapiące komnaty.

Lecz gdy stanęli przed ciężką kotarą, puszcza go naprzód, a sami się cofną.

Wszedł.

W stu świec rażącym blasku stała królowa, ręką wsparta o stół, na którym korona djamentów skrzy się ogniami, i nagi sztylet sinawe rzuca odbłyśki.

I bez jednego słowa, bez calunku królowa osuwać z siebie poczęła szeleszczące suknie i wnet jawiła się struchlałym oczom koniucha bez żadnych już osłon, jak żywiol groźna nagością swoją, w kraś sie swej zwycięska i przemożna.

Więc chrapanął dziko młodzieniec, jak koń dziediony ostrogą, i skoczył z miejsca.

W miłosnej furji, w pasji serdecznej skręcał i łamał wpaniałe ciało, przekornie łukiem się pod nim przeżące, aż zmógł ją wreszcie i wywierał gwałt, ginąc w otchłaniach rozkoszy.

A kiedy wreszcie legł bezwładny, wraz podstaąpił mu do gardła przyływ ohydy i wstrętu.

Upokarzająca męka, bolesny wstyd mężczyzny po ugaszeniu miłosnego porywu, straszliwa czczość, nuda bezmierna opasały go zewsząd oślizgłemi ramionami.

Zamknął oczy — na mgnienie bodaj zapomnieć o wszystkim.

Lecz tu zachybotał nad nim cichy, bezecny śmiech.

Wstrząsana jeszcze dreszczami żądry, podgląda królowa wielowiednemi oczyma udękę kochanka, szepcze obmierzle. „Nie sromaj się chłopcze, chłopcze, żeś taki był gorący“.

Ha, dość! Sama zgon swój przyspiesza.

Jak zwinna rybka nad powierzchnią wód, śmignęła w powietrzu wstęga stali.

Ogromnym ciosem, zgóry między piersi koniuch przygwoździł sztyletem do łoża dręczycielkę swoją. Koniec.

Wyciera teraz koniuch broń skrwawioną, próbuje ostrza, zali nie stępało — lekką chce mieć śmierć, alec znużony jest straszliwie, osuwa się na stołek, głowa mu zwisa bezradnie.

Jedna za drugą, leniwie i wolno, jak chmury deszczowe, suną się myśli ospałe, wspominki dawne, przypomnienia.

Widzi urwiste zbocza gór, na których w dzieciństwie trzody pasał, słyszy, jak świszczą żagle galerii, jak w jego rękach skrzypi wiosło, nurtem wzburzonego morza rwane.

Blade, znękane wracają znów zwidzenia z przed lat, takie niegdyś świeże, bujne, harde, gdy je kręsał i wyświecał w nieprzespane noce.

Zawsze czuł, że jest zrodzony do przeznaczeń górnych, do wielkości.

I na co mu przyszło? Już się uśmiecha do niego spróchniałemi zębami babula odwieczna — kostucha, już trupa barwą jagody mu wskuje.

Niedługo już, niedługo...

III.

Młodzieńczyk wąty, i nieśmiały, bład Świt spędzał jał z niebios cienie nocy, zapłoniony, rumieńcem swym się uniewinniał — on, bożyc! że czynić tak musi nie z dobrej woli, jeno z rozkazu rodzica swego Najjaśniejszego Słońca.

Zadzwoiła ptaków jutrzniara kapela, zbudził się psotny wietrzyk i przekomarzać się począł z uspio-

nemi jeszcze drzewami ogrodu; na powszednie bytowanie wstawał świat.

Z zadumy osiatecznej ocknął się koniuch. Już czas. Wygładził ręką szyte złotem szaty, śmiertelny swój przyodziewek. Już czas. Jeno ludzi przedtem zawezwie, niech przyjdą, niech obaczą. Uderzył koniuch młotkiem w srebrną tablicę — na trwozę.

Słysz, jak zagnęła w oddali poderwał się rumor, jak kroki zbrojnych dudnią w przyległych komnatach.

Oparł sztylet u obsady szyi, nie zawiedzie go ręka.

A wtem!...

Z głębi trzewiów, z pod serca trysnął w górę pęd zbuntowanej krwi, zalał piersi, uderzył w skroń, zaszumiał w głowie.

Wydarło się ciało niemiłosiernej ducha przemocy, zaśpiewało i zagrało jak spieniona rzeka, jurnym krzykiem przeciw śmierci ozwało.

Zachwiał się koniuch, ugięły się pod nim kolana, lecz wnet zatknął sztylet za pas, tygrysim skokiem dopada stołu, palcami wpija się w krawędź.

Zaś jednocześnie odleciała w bok zasłona, do komnaty wpadł młody setnik i dwaj żołnierze.

Od jednego rzutu zoczył oficer rozpostarte na łożu zwłoki królowej i zmaczone nagłym przerażeniem źrenice utkwiał w twarzy koniucha.

A ten jeno marmurem stołu oddzielony chylił się ku niemu i rwał, narastał i olbrzymiał.

Zdobyta przed chwilą na kresach życia moc, złupioną u śmierci potęgę upiora, zaklął koniuch w spojrzenie swoje, płomieniami źrenic obejmował i ogarniał, czarował i ubezwładniał.

Dwaj sforni żołnierze w nieruchomem osłupieniu zastygli za plecami przewódcy, który oprzytomnieć próżno się silił: zdrewniała dłoń na rękojeści miecza, zastygło ciało zimnym potem złane, słowa konały i gasły niewypowiedziane na ustach, jakby przed snem ciążyły i lepily się powieki.

A niepojęty czarodziej patrzył wciąż i tłumiał wszelki podszept woli, ni jednej myśli jasnej do głowy nie dopuszczał.

Niechże uczyni coś, niech morduje raczej, lecz niech nie milczy dłużej; nieubłagany wzrok przewiercił ciało nawskroś, zachodzą mgłą źrenice setnika, dziw, że dotychczas na nogach dostoi.

Zagnęła nieszczęsny oficer stęknął głucho, jak dorzynane zwierzę. W jego oczach ów czarci kum sięgnął ręką po leżącą na stole koronę, na czole ją swoim mocuje.

Świętokradztwo! Nie pozwolić!

A w tem uderzy zuchwały samozwaniec pięścią — krzyknie.

„Oddajcie cześć królowi!“

I jakby cudzą powodowan ręką wy dobył setnik miecz z pochwy, w kornym hołdzie do ziemi go zniża — toż samo za nim żołnierze.

Spokojnie przemówi koniuch.

„Mianuję ciebie pułkownikiem, dowódcą straży mej przybocznej. Wy! — rzeknie do żołnierzy — „setnikami jesteście, macie“.

Tu sypnie na stół złoto z woreczka królowej, potoczą się z brzękiem błyszczące krążki, chwytają je chciwie żołnierze, garściami zbierają dukaty.

Rozkazuje król żołnierzom: „Teraz do swoich biegnijcie, niech pułk wasz zajmie cały zamek, po sto dukatów każdemu dziś wypłaca”.

„Niech żyje król!”, odkrzyknęli żołnierze, ku drzwiom spiesząc.

Powie znowu król:

„Ty, pułkowniku, pójdziesz ze mną do tronowej sali”.

Idą -- król na przedzie. Słyszcy za sobą szybki świszczący dech, może go z tyłu ugodzi cios skrytobójczy.

Lecz co mu tam — upaja go ze śmiercią gra szczęśliwa.

I wygrał znów — bezkarnie na tron wstępuje, młody rycerz z obnażonym orężem stanął przy stopniach.

A za mgnień parę już wtargną rotę żołnierskie, obietnicą złota przekupione, na cześć króla wiwatują.

Tedy koniuch w koronie ogłosić każe swoje panowanie: na miasto śle zwiastunów, we wszystkie dzwony bić poleca, dwór cały każe przed swój przyprowadzić majestat.

I przyszli wraz bez zwłoki, dworzanie, damy, dostojnicy, czeredą się zbiegli uległą, złęknieni, wściekli, drżący.

W czołobitnym się mienia korowodzie, strojni, wspaniali, bezwstydni, do kolan mu się nisko kłaniają, składają przysięgę wierności.

A z miasta gwar i zgiełk dolata, gromadzi się gawieź ucieszona, w wyloty ulic heroldy ciskają nowinę niespodzianą, na rynku bębny warczą, surmy

grają, z kościołów biją w dzwony, rozhulało się wesele, święto nagłe, nieczekane! Chwalaż temu, który bawi, nudę życia dziś rozproszył!

„Król niech żyje!”

A król wielmożny stoi na tronie wysoki, chmurny, nieprzystępny, jeno gnieźdzące się w oczach pioruny połyskiwać zaczęły złowrogo. Nie mówi nic, zaprawdę, słów nie staje.

Ale już czas, już czas, już... już...

Wyciągnął ramię, skupi się zgraja prześwietna, ciekawa co ten pacholek powie.

„Tchórze!” rąbnął ich nagle między ogłupiałe ślepia.

„Psy! Legawce podłe! Czołgajcie się, ogonem bijcie! Warujcie, smerdy!” zagrzmiał lwim porykiem i zerwał z głowy swej koronę, pod nogi im strzasnął z łoskotem.

Hej, wie już, po co żył!

Na wyżynach orły giną! Ostatni jego orli skwir przerazi nietoperzy stado. Samotny żył, samotny kona, pogardą plwając w rabów pyski.

Smagani słów jego biczami kurczą się i zalewają żółcią zbezczeszczeni niewolnicy, z głuchym pomrukiem zbliżają się do tronu.

Skoczyli wreszcie, jak wilki — gromadą!

Ubiegł ich, krótkim, rwanym ciosem wbił sztylet w bok własny.

Padł.

„Panowie świata” — zaśmiał się jeszcze z pod trających go stóp.

Stojan Stefanowski.



BARRY PAIN.



Duszne i parne było dnia tego powietrze na nieznaną i oddaloną od lądu wyspę. Ludność jej składała się z mężczyzny i kobiety o skórze brunatnej; oboje nie znaleźli jeszcze „dobrodziejstw” kultury. Tego popołudnia „ludność” się wykąpała i teraz wylegiwała się w słońcu na piasku. Pierwszy odezwał się mężczyzna:

— Zaraz pójdziemy obejrzeć tę łódź, która przybiła do brzegu.

— Zaraz — odparła leniwie dziewczyna.

— To dobra łódź.

— To bardzo dobra łódź — jak echo powtórzył mężczyzna. — Będzie nam ona przydatna. I powiedziawszy to, zasnął smacznie i zaczął chrapać.

Kobieta zbudziła go jednak zaraz. Nastrojona była filozoficznie, a to wcale nie zabawne filozofować samotnie.

— Czy jesteś szczęśliwy? — spytała.

— Nie wiem — odpowiedział mężczyzna. — Nigdy się nad tem nie zastanawiałem.

— W takim razie jesteś szczęśliwy — zawyrokowała stanowczo. — Ludzie, zastanawiający się nad tem, nie są szczęśliwi. Ja, na przykład, szczęśliwa się nie czuję.

— A gdybyśmy tak wstali i poszli nałowić trochę ryb — — —

— Nie — stanowczo zaproponowała kobieta — wolę rozmawiać.

Mężczyzna westchnął.

— Czy wiesz co to jest pragnąć, by od nas odjęto naszą własną istotę, a uczyniono kim innym, kimś natchnionym przez bogów? Te dni i noce, ciągle takie same stały mi się już ciężarem. Chciałabym, aby choć na chwilę było inaczej.

— To niemożliwe — rzekł mężczyzna. — Bogowie istnieją niewątpliwie. Takie było mniemanie naszych praojców, ale bogowie się do nas nie wtrącają i my do nich dostępu nie mamy. A zatem nic nas oni nie obchodzi i daleko będzie lepiej pójść złowić trochę ryb.

Kobieta z miną taką, jakby lada chwila miała wybuchnąć płaczem, oświadczyła, że nienawidzi ryb i nienawidzi wyspy i nienawidzi siebie samej.

— Chciałabym spotkać się z jakim bogiem — oświadczyła. — Chciałabym porozmawiać z kimś, kto jest czemś więcej, niż zwykłym śmiertelnikiem. Opowiedz mi, jak wyglądają bogowie.

— Co do tego — odparł mężczyzna — to poglądy są bardzo różnorodne. Niektórzy twierdzą, że bogowie są jak olbrzymi ludzie, wyżsi niż drzewa palmowe i siłę mają nadprzyrodzoną. Inni znowu twierdzą, że bogów widzieć nie można i że rozpo-

znaje się ich tylko po pewnym wpływie, jaki wywierają wewnątrz nas. Uważam, że to warjactwo rozmawiać o rzeczach, o których nic nie wiemy. Jeśli nie chcesz łowić ryb, to chodźmy obejrzeć łódź.

Kobieta wstała nachmurzona i poszła za nim.

W łodzi znaleźli puszkę blaszaną, pełną biszkoptów. Nigdy przedtem biszkoptów nie widzieli, ale natychmiast domyślili się, do czego służą. Wywiercili w nich otwory i porobili sobie naszyjniki.

Pozatem znaleźli wielką czworograniastą butelkę, zawierającą bezbarwny płyn. Dziewczyna wyjęła korek, umaczała palec i dotknęła języka.

— Czemu smakuje? — ciekawie dopytywał się mężczyzna.

— Smakuje ogniem, snem i grzechem — odparła kobieta.

— W takim razie pójdę przynieść nasze czarki — oznajmił mężczyzna.

Czarkami były dwie połowy łupiny orzecha kokosowego, wygładzone przez częste użycie. Mężczyzna napełnił je po brzegi i pili oboje — wolno sącząc napój. Trunku, mającego smak ognia, snu i grzechu nie można przecież pić zbyt pośpiesznie. Napełniając czarki po raz wtóry, kobieta wyraziła przekonanie, że płyn w butelce jest bogiem.

Następnego ranka zbudziła się kobieta i chwiejnym, niepewnym krokiem poczęła iść ku wybrzeżu od miejsca, gdzie dnia poprzedniego padła była na piasku i zasnęła. Weszła do wody, zanurzyła głowę i pozostała tak, jak mogła najdłużej. Po chwili wynurzyła się na powierzchnię i poczęła płynąć ruchem wolnym a leniwym. Nagle wyłoniła się z fali obok niej postać mężczyzny, który również uczył potrzebę kąpieli.

— Niema najmniejszej wątpliwości — odezwała się kobieta. — Znaleźliśmy jakiegoś nieznanego boga, którego możemy poznać po tym wpływie, jaki odczuwaliśmy wewnątrz naszych istot.

— Ja się wcale dobrze dzisiaj nie czuję — rzekł mężczyzna.

— Ani ja — zawtórowała kobieta. — Ale wczorajszy wieczór był cudowny. Nigdy jeszcze nie tańczyłam tak długo i tak szalenie. Nigdy tak bardzo się nie śmiałam.

— Mam wrażenie, że byłem niezwykle dowcipny — mówił mężczyzna, płynąc obok niej.

— Nie; to nie to — zawyrokowała kobieta. — Wszystko było dowcipne i zabawne. Śmiałam się do morza, śmiałam się do łodzi, do drzew, do wszystkiego dokoła. I ty śmiałeś się także.

— Pamiętam — powiedział mężczyzna. — Cały świat stał się dla mnie naraz zabawny. Ale dzisiaj zato bardzo mi jest niewyraźnie. — Jeszcze raz dali nurka pod wodę, poczem wyszli na brzeg i legli obok siebie na gorącym piasku.

Kobieta rzekła:

— Zwykle o tej porze łowimy ryby na śniadanie, ale dzisiaj nie mam ochoty ani łowić ryb, ani ich jeść i zdaje mi się, że dopóki żyć będę, już nigdy nie będę wogóle miała ochoty jeść.

— I mnie się także zdaje — rzekł mężczyzna. — Tylko nie rozumiem, dlaczego tak jest, jeśli rzeczywiście to, co znaleźliśmy w łodzi, było bogiem.

— Dlatego — tłumaczyła kobieta — że jeśli z wielką siłą pociągniesz gałęź w jednym kierunku, a potem ją nagle puścisz, to się ona z równą siłą odchyli w przeciwnym kierunku. Wczoraj byliśmy ogromnie podnieceni, więc dzisiaj odczuwamy zupełny zanik energii. Co do mnie, to chętnie to znoszę. Gra była warta świeczki. Dlaczego wstajesz? Dokąd chcesz iść?

— Idę sprawdzić — odparł mężczyzna — czy przypadkiem w butelce nie zostało jeszcze choć trochę tego napoju, który ma smak ognia, snu i grzechu.

— Połóż się — rzekła dziewczyna. — Ja sama o tem pomyślałam, ale niestety, niema już ani kropli.



W kilka dni potem zbudowali oboje na wybrzeżu pusty ołtarz z białych kamieni, umieszczając na wierzchołku butelkę, która zawierała boga. Woń jego wciąż jeszcze wydzielala się z wnętrza. Mężczyznę drażni to, że kobieta zbyt wiele czasu spędza przed ołtarzom na rozmyślaniach. A co będzie, jak wyładują misjonarze?

Przełożyła J. Włodarkiewiczowa.

MEDAL WIĘZIENNY Z. R. 1863.



Sztuka jest to niekiedy pełne radosnej mocy stwierdzenie istniejącego w duszy piękna — jest to danie wyrazu nadmiarowi przepelniających duszę sił twórczych, zdolnych zachwycać się melodjami, harmonjami linii i barw, grającymi w naturze, zdolnych dawać tym melodom i harmonjom kształt skończonego i zamkniętego

w sobie organizmu — dzieła sztuki. Taka sztuka jest weselem ludzi, ich spoczynkiem, oderwaniem się od codziennej szarżyny i trosk życia. Przenosi ich ona w świat czarodziejski piękna, który ma się tak do światła codziennych spraw i utrapień, jak siedem barw wzniosłego luku tęczy do brudnej, zawalonej sprzętami, izby.

Lecz istnieje też sztuka inna. Sztuka, która da się porównać do jęku śmiertelnego wydobytego z serca człowieka, którego przywaliło rumowisko, lub którego żywcem pogrzebano.

Sztuka ta niesie w swych kształtach krew i łzy i mękę bezsensownych, niepotrzebnych a tak strasznych często katuszy, zadawanych sobie przez ludzi.

Sztuka ta — to sztuka więzienna.

Naród nasz, drczony przez przemoc zaborców w ciągu półtora blisko wieku obfitą złożył daninę na ołtarzu tej przebolesnej, przesmutnej sztuki. Sztuka ta była ścigana i prześladowana. Dziełka, przedmioty przez nią wydane uważane były przez siepaczy za coś, mogącego podważyć całość państwa, a posiadanie ich było karane jako zbrodnia stanu.

Artyści, twórcy tych dziełek byli to więźniowie skazańcy. Nie mieli oni ani materiału trwałego, ani narzędzi do obróbki — wątkiem tych dziełek jest najczęściej twardy, więzienny chleb i z niego, urobiwszy go dobrze, modelowali więźniowie różne figurynki, portreciki lub postacie symboliczne. Dzisiaj podajemy naszym czytelnikom takie dziełko — relikwję — w reprodukcji. Jest to model robiony w moskiewskim więzieniu w Kijowie w r. 1863. Odcisnięty jest on w chlebie z matrycy, wyrźniętej nożykiem w drzewie z wielkim pietyzmem i delikatnością. Doszedł rąk naszych uszkodzony. Na modelu tym widzimy dwa symbole. Drzewo hańby i męki, krzyż, który jest jednocześnie symbolem śmierci ofiarnej, i oplatająca go koronę cierniową, symbol znęcania się niższych sił nad duchem wyższym.

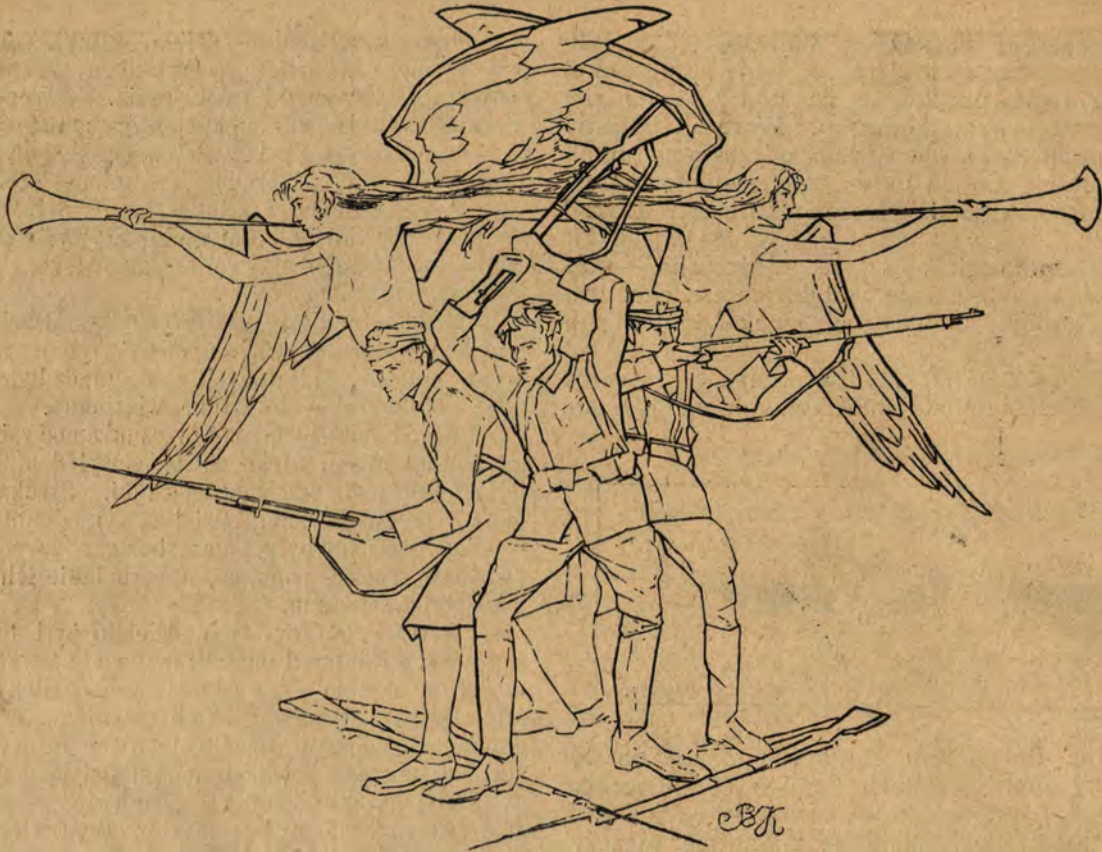
Dzisiaj dochodzi do nas ten medal, jako cichy i bolesny głos z za grobu, jak skarga tych tysięcy drczonych i pomordowanych. — Dzisiaj, gdy spełnia się ogromne dzieło sprawiedliwości dziejowej, którą kaci naszego narodu częściowo sami sobie wymierzili, mordując się lata całe nawzajem — sprawiedliwości, którą dopełnia nasza, wiedzona przez Genjusz Polski, siła.

Gdy wobec leżących w gruzach zaborczych imperjów, Polska potężnieje i rośnie w moc, spojrzawszy na ten skromny więzienny medal, doświadczamy uczucia wdzięczności dla tych, którzy wówczas, gdy było najgorzej walczyli, którzy nie złożyli broni nigdy, którzy stali się przez setkę lat pokotem pod uderzeniami wroga, by w końcu zwyciężyć i wieść nas ku wyższej, lepszej przyszłości.

Cześć Im!

J. R.





B. KUŹMIŃSKI.

LEGJONY POLSKIE.

BOLESŁAW KUŹMIŃSKI.

Każdy, kto nauczał rysować, zetknął się z dziwnym dla malarza zjawiskiem nieodczuwania kształtów oraz ich wzajemnego do siebie stosunku, przez ludzi nie umiejących rysować.

Często daje się widzieć, że człowiek ogólnie rozwinęty umysłowo, pomimo wysiłków w kierunku ściślego spostrzegania, nie może zdać sobie sprawy z tego, czy dana linja (granica płaszczyzn lub barw) dąży w górę, czy w dół i głowi się nad zagadką, czy dwie linje nachylają się ku sobie, czy też się rozchylają. Trudności piętrzą się, gdy idzie o wierne oddanie proporcji wzajemnej przedmiotów, a niedoścignicną wprost tajemnicą zdaje się być oddanie przedmiotów w ich całej barwnej, tonistycznej rozmaitości.

Gdy więc człowiekowi, zaniedbanemu pod względem rozwoju artystycznego, tak trudno jest spostrzedz i oddać najzewężniejsze stosunki płaszczyzn i linji, to oczywiście nie może on wnikać w istotę tych kształtów, w ich najgłębszą, symboliczną niejako treść, którą wypowiada się życie wyższego, duchowego rzędu.

Malarzem, który za zadanie postawił sobie wni-

knięcie w istotną treść formy, który pracowicie, z głębokim do zjawisk odtwarzanych szacunkiem i czcią szuka po przez formy zewnętrzne ich duchowego wyrazu, jest Bolesław Kuźmiński.

Powaga pracy, miłość dla przyrody, prostota i cicha skromność wobec wielkości i tajemniczości natury cechują jego pracę. Umie on połączyć drobiazgową nledwie analizę delikatnych małych odchyłeń formy z jej wielkimi i stnnowiacemi o charakterze przedmiotu zarysami.

Analityczna drobiazgowość poszukiwań stosunków płaszczyzn i linji nie psuje Kuźmińskiemu ani wielkości mas, ani ich żywego wyrazu.

Kuźmiński idzie drogą ciszy i głębi.

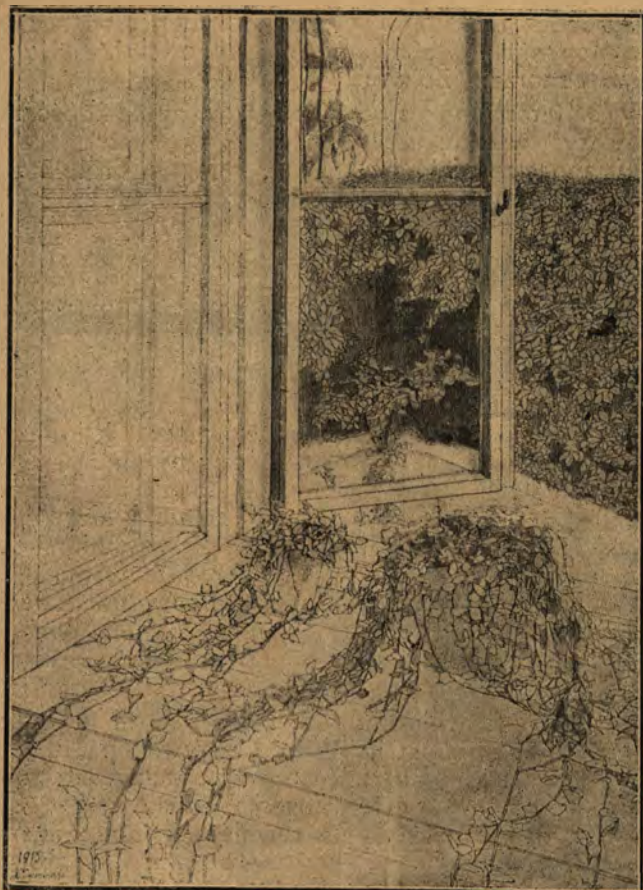
Sztuka jego jest sztuką wielkiej prostoty środków i ma sobie coś z czaru rzeczy pięknych, które są skryte dla wielu ludzi, szukających silnych, podniecających efektów. Ażeby poezję, tkwiącą w takim np. skromnym rysunku p. t. „Okienko“, który tu dzisiaj reprodukuje, odczuć, nie można zatrzymać się chwilę przy nim na wystawie, pełnej spótzawodniczących ze sobą głosów silnych, czasem aż brutalnych. Wdzieło to trzeba wnikać w ciszy i skupieniu i wtedy zobaczymy, wiele ar-



B. KUŹMIŃSKI.

<http://rcin.org.pl>

BELINA.



B. KUŹMIŃSKI.

OKIENKO.



B. KUŹMIŃSKI.

PORTRET.



B. KUŹMIŃSKI.

GŁOWA DZIECKA.



B. KUŹMIŃSKI.

PORTRET.

tysta włożył szczerą miłości dla życia, odtwarzając te delikatne, a tak bujnie pnące się i rozrastające się tak bogato gałązki, wiele cierpliwego i ofiarnego, poważnego trudu tkwi w oddaniu suchych kształtów ram okiennych i okien, środkiem tak abstrakcyjnym i skromnym, jak linja, w oddaniu takim, że zdaje się nam, że te przedmioty żyją wraz z gąszczem bujnej roślinności w ogrodzie, wraz z pnączami na oknie.

Kto umiał w drobnym, zwyczajnym fragmencie bytu spostrzedz wiele piękna, ten i wówczas, gdy trze-

ba będzie tworzyć rzeczy, związane z wielkimi, historycznej doniosłości zdarzeniami, będzie umiał tchnąć w nie głębszą treść duchową. Takim rysunkiem, w którym Kuźmiński ukazuje się już nie, jako wnikliwy badacz, kontemplator i odtwórca przyrody, ale jako wyraziciel pewnej idei, związanej z tworzeniem historii — idei porywającej masy i każącej im oddać swój trud, krew i zdrowie, jest kompozycja ołówkowa p. t. „Legjony Polskie”. — Przedstawia ona grupę trzech Piłsudczyków, zwróconych w walce ku naddciągającym jakby z trzech

stron wrogom. Ponad tą grupą żołnierzy unoszą się dwa demony wojny, grające bojowe surmy.

Całość, pomimo nadzwyczajnej prostoty i skromności środków, czyni wrażenie dzieła o dużej sile. Kompozycja związana z grupą, mającą dużo rytmicznej symetrii, ma życie, ruch i wyraz.

Kuźmiński przeżył duży przełom w swej artystycznej drodze. Z wielu nęcących efektów zrezygnowawszy, zagłębił się w pracy cichej, lecz bardzo poważnej i artystycznej. Teraz, będąc w wojsku, należy do tych, którzy budują siłę polską dla obrony polskiego piękna i możliwości swobodnego rozwoju polskiego życia.

Artystą jednak pozostał i, wierzymy w to, da jeszcze wiele dzieł wartościowych. Jan R.

WIEŚ CHIŃSKA.

Mam napisać słów kilka o wsi chińskiej. O wsi, na którą patrzyłem, której życie i charakter poznałem w czasie swego pobytu w Mandżurji. Zdawałoby się, że temat bardzo prosty i łatwy, tymczasem tak nie jest. Pragnąc dać czytelnikowi możliwie pełny obraz wsi chińskiej, jej życia i charakteru odczuwam b. wiele trudności i dlatego zgóry musimy sobie powiedzieć, że w tak krótkim szkicu niepodobniestwem jest wyczerpać całkowicie tematu. Stąd to nie wdaję się w szczegóły, szkic niniejszy raczej będzie szeregiem wrażeń, jakie wieś chińska sprawia na uważnego i ciekawego Europejczyka.

Nie znam wsi chińskiej z Chin właściwych, Mandżurja bowiem, jak wiemy, jest prowincją, krajem Mandżurów, który dawno już temu został podbity przez Chińczyków i z państwem których stanowi nierozdzielalną całość. Emigracja chińska do Mandżurji, i towarzyszący temu powolny podbój kulturalny, sięga odległej starożytności. Chińczycy tam osiedli, przybyli z dalekiego południa, i z różnych stron rozległego państwa chińskiego, niosąc ze sobą zwyczaje, obrzędy, tradycje, urządzenia społeczne, język — słowem cały swój wielowiekowy dorobek kulturalny. Dlatego też, patrząc na życie chińczyków w Mandżurji wyrabiamy sobie dokładne pojęcie o życiu i kulturze tego starożytnego narodu.

Mandżurja, po chińsku Dun-san-szen (to znaczy: trzy wschodnie prowincje) jest najdalej na północny wschód wysuniętą prowincją. Leży na tej samej linii, co Włochy, Francja i południowa Anglja. Od



Wieś I-di-obo. Dwaj bracia.

Fot. L. Sawicki.

wschodu i północy graniczy z Syberją, od zachodu z Mongolją i właściwymi Chinami, od południa z Koreą i morzem Żółtym.

Klimat ma ostry, lądowy: w zimie dość silne mrozy, w lecie upały, znacznie przewyższające nasze (noce zaś chłodne). Przez cały rok, prócz krótkotrwałej pory deszczowej na początku lata, świeci piękne słońce. Roślinność b. bujna — wspaniała.

Mandżurja przedstawia płaskowzgórze z licznymi łańcuchami górskimi, które w różnych kierunkach przecinają ten kraj, ciągnąc się na niezmiernych przestrzeniach. Mandżurja sprawia wrażenie kraju dziewiczego, o przyrodzie dzikiej, surowej, pięknej.

Na tych to rozległych przestrzeniach, na płaszczynach od wieków uprawnych, na stepach niezmiernych, w dolinach majestatycznych gór, łysych lub porośniętych bujną roślinnością, rozsiadły się wsie chińskie. Szare, przytulone do ziemi, z którą stanowią nierozdzielalną całość, jakby przytłoczone ogromem obszaru, na tle którego zaledwie można je odnaleźć. Wieś chińska nie jest zadrzewiona, zaledwie tu i owdzie spostrzegamy topolę lub wiąz, obecność których najczęściej się wiąże z kapliczką wiejską, lub też innym miejscem świętym.

Gdy się zbliżamy do wsi, wita nas na wstępie wyżej wspomniana kaplica. Odgrywa ona rolę nie tylko miejsca, gdzie się w pewnych chwilach zbierają mieszkańcy w celu złożenia ofiar, oraz odbycia pewnych obrządków, ale również środka, zabezpieczającego wieś od wkroczenia złych i szkodliwych duchów. Wedle bowiem pojęcia chińczyków na drogach wszelkich roi się od duchów, które mogą szkodę wyrządzić człowiekowi. To też przeciwko nim chińczyk potrafił doskonale zabezpieczyć się. Przedewszystkiem domy mieszkalne zawsze stara się budować w głębi podwórza, naprzeciwko wrót, żeby zaś przez nie nie dostały się na podwórze niepożądane duchy, za wrotami znajdują się specjalne budowle, przypominające duże tablice, na których namalowane są różne symboliczne znaki, tak że wzrok ciekawego przechodnia z ulicy nigdy nie spoczywa bezpośrednio na domostwie, lecz na tej tablicy. Poza tem na drzwiach, od zewnętrznej strony, nalepione są rysunki święte, przedstawiające dwóch potężnych rycerzy, którzy odgrywają rolę naszych Aniołów Stróżów. Są to tak zwane po chińsku Mynszeny (myn — wrota, brama, szen to samo co żeń — człowiek) brońący wejścia do domu, lub zagrody.

Zwykle we wsi znajduje się nie jedna kapliczka, lecz więcej, z których każda ma inne znaczenie, zależnie od tego, jakiemu bogu jest poświęcona. Kapliczki zwykle są zbudowane z cegły, czasem pięknie zdobione, z licznymi malowidłami a nawet figurami świętych. Często ogrodzone, utrzymane w porządku i czystości. Budową swą przypominają domy mieszkalne lub też miniaturowe świątynie. Wnętrze przedstawia niewielką niszę, do której prowadzi wysoko nad ziemią umieszczone jedno lub trzy wejścia, a właściwie otwory, przez które najwyżej rękę wsunąć można. Wewnątrz, obok malowideł, naczynia do zsypanywania popiołu świętego, znajdują się zwykle tabliczki, na których wypisane są sentencje religijne. Nie zawsze jednak kapliczki są tak bogate. Widziałem w wielu wioskach niewielkie budki, ulepione z gliny i umieszczone na specjalnym podmurowaniu, lub też na świętym pniu drzewa i śród drzew.



Wieś I-di-obo. Wnętrze zagrody.

Fot. L. Sawicki.

Czasem takich kapliczek było kilka obok siebie stojących. Z jednej z nich wyjąłem w celach naukowych tabliczki, ażeby przekonać się, co też na nich było napisane. Treść tych napisów tchnie głęboką starożytnością wprowadza nas w świat człowieka pierwotnego, o którym my, mieszkańcy Europy dwudziestego wieku, pojęcia nie mamy. Zwykle w kapliczce znajdują się trzy deseczki, proste, oheblowane, o kątach górnych ściętych. Deseczki takie czasem są malowane na czerwono i stoją na podstawkach. Deseczki, które ja wydobylem były b. prymitywne, niemalowane i wstawione były wprost w glinę, z której, jak to już wspominałem, zbudowana była kapliczka.

Na pierwszej z brzegu, od lewej strony, widniał następujący napis, który podaję w dosłownym brzmieniu i w przekładzie (czyta się po chińsku od góry do dołu, prócz tego od prawej strony ku lewej, nie tak jak u nas):

Kum-fen	Pokłon (ci)
Szan)	
Szen)	Święty Tygrys (ie)
Dży)	
wyj)	Pan (ie!).

Napis na tabliczce środkowej:

Kum-fen	Pokłon (ci)
Tchu)	
tyj)	Przodek (przodku)
Dży)	
wyj)	Pan (ie).

Wreszcie ostatni napis:

Kum-fen	Pokłon (ci)
Jou)	Boże Jou-wam (nazwa boga
Wam)	lecznictwa)
Dży)	
wyj)	Pan (iel).

W tych trzech wezwaniach do bogów i ducha przodków, chińczyk, mieszkaniec danej wsi i miejscowości, zawarł wszystkie swoje prośby. Przyjrzyjmy się temu bliżej. Tygrys — to potężny pan i władca, zamieszkujący daną miejscowość. Należy złożyć jemu pokłon i chwalić go nie tylko przed udaniem się w drogę, lecz i w życiu codziennym, ażeby w ten sposób usposobić go dobrze względem siebie. Przodek — któż może mieć potężniejszy wpływ na życie tych co pozostali, niż duchy zmarłych przodków! Kult przodków w Chinach jest nie tylko rozpowszechniony ale jest je-

dnym z kultów najpotężniejszych, najbardziej uświęconych i zakorzenionych w wyobraźni i uczuciach religijnych chińczyków. W związku z tym, rodzice cieszą się niebywałym poszanowaniem w rodzinie i wpływ ich oraz znaczenie nie słabnie nigdy.

Przodkowie opiekują się tymi którzy pozostali, mogą więc wpływać na ich los. Z duchami przodków należy żyć zawsze w zgodzie, o nich nigdy nie zapominać, składać dary, hołd im należy. Dlatego to chińczyk kładzie napis na tabliczce na cześć przodka — ojca rodu, ażeby gniew jego odwrócić i dobrze dla mieszkańców wioski usposobić.

Bóg lecznictwa — to groźny bóg, którego względy należy pozyskać, ażeby uchronić się od niebezpieczeństwa zarazy i chorób wszelakich. Lecznictwo chińskie oparte jest właściwie na praktykach różnych i środkach, mających na celu odpędzenie zła, uroku naslanego. Typ naszego znachora, czarownika, odpowiada najlepiej pojęciu lekarza chińskiego. Oczywiście mówię tu o lekarzach ludowych, nie zaś o lekarzach, którzy odbyli odpowiednie studia medyczne. Panem wszystkich sił nieczystych powodujących choroby, jest bóg Jou-wam i jemu to chińczyk poświęca tabliczkę z odpowiednim napisem, którą umieszcza w kaplicy wiejskiej.

Teraz, gdy już zapoznaliśmy się, wprowadźcie po bieźnie, z kaplicą wiejską — wejdźmy do samej wsi. Na wstępie spotyka nas zajadłym ujadaniem sfora nawpół dzikich psów, które u chińczyków cieszą się szczególnym poszanowaniem, a nawet kultem. Następnie wita nas dzieciarnia chińska, z zaciekawieniem i niepokojem na twarzach. Z początku gromadka dzieci trzyma się na pewnym dystansie od przybysza, po chwili jednak przestrzeń dzieląca nas od naszych obserwatorów zmniejsza się, gromadka dzieci wzrasta, ciekawość bierze górę i wreszcie zostajemy otoczeni wrzaskliwą dzieciarnią. Ubrane to jest rozmaicie, nawpół nagie; pyzate buzie raz po raz uśmiechają się, towarzyszy temu nieustanny gwar. Głównki ostrzyżone różnorodnie i zaplecione, krótkie warkoczki nadają szczególny wyraz tym małym postaciom. Za dziećmi zdążają i starsi z powagą przyglądając się przybyszom. Sypią się zapytania i uwa-



Ulica we wsi Tien-di-szogo.

Fot. S. Sawicki.

gi, których przybysze nie rozumieją. Wywołuje to gwar i śmiechy wśród zebranych. Wystarczy zamiana kilku słów po chińsku, ażeby tę całą gromadę do brze względem siebie nastroić.

Po tym wstępie posuwamy się dalej wgłąb włoski.

Wzdłuż drogi, po obu jej stronach, skupione lub też rozrzucone, znajdują się zagrody. Wygląd zewnętrzny zagród jest różny. Dom mieszkalny czyli fan-za, otoczony jest płotem ze słomy gaolanu, który przypomina potężną trzcina, lub też wysokim murem zbudowanym z cegieł niepalonych i obrzucanych gliną, zmieszaną z trawą i plewami. Niekiedy w rogach frontowych takiego ogrodzenia znajdują się baszty obronne, cała zaś zagroda wyglądem swym przypomina małą fortecę. Wrota zwykle są drewniane, mocne, zamykane od wewnątrz, są one zawsze zamknięte, a do wnętrza zagrody dostać się można przez niską i wąską furtkę. Wygląd takiej wsi wieczorem, gdy już mieszkańcy jej położyli spać, nie może sprawiać miłego wrażenia. Wiesz jakby wymarła, żadnego śladu życia, tylko poszczekiwanie psów, mącą tę ciszę, jaka tam panuje.

Łatwo odgadnąć, jaki przykry los spotkałby zapóźnionego wędrowca, któryby we wsi o tej porze szukał noclegu. Zaznaczyć należy, że chińczycy mają zwyczaj wczesnego kładzenia się do snu. To też wieś chińska, a nawet miasto, nie przedstawiają wieczorem takiego widoku, jak u nas. Miasta chińskie otoczone są wałami obronnymi, o zmroku zamiera wszelkie życie na ulicy, bramy miejskie zostają zawarte i nikt już do miasta dostać się nie może. Jedynie kroki wartowników i patroli zakłócają ciszę nocną. Wogóle życie chińczyka ściśle uzależnione jest od słońca. Ze wschodem jego rozpoczyna on swą pracę codzienną — a kończy o zmroku.

Charakter obronny miast i wsi da się wytłumaczyć stałym niebezpieczeństwem nie tylko ze strony plemion i ludów ościennych, ale i rozbójników, którzy tam są doskonale zorganizowani, grasują jako bandy, łupiące nie tylko wsie ale i miasta. Rozbójnik czyli chun-chuz jest prawdziwym postrachem dla spokojnych mieszkańców Mandżurji. Jest on bezwzględnie żywym zabytkiem dawno minionych czasów, lecz dziś jeszcze stwierdzamy potężny wpływ jego na życie nie tylko społeczne ale i państwowe.

(C. d. n.).

L. Sawicki.



NA MARGINESIE CHWILI.

18.

Najjaśniejszy Sejm Rzeczypospolitej Polskiej, pierwszy Sejm, zebrany w Warszawie, uwolnionej od najeźdźców, zdecydował w głosowaniu imiennem, że potworny Sobór na placu Saskim, przytłaczający swym wschodnim ogromem stolicę, policzek, wymierzony narodowi naszemu przez biurokrację carską, ma pozostać.

Są ludzie, którzy twierdzą, że to drobiazg, że to głupstwo. Tysiące ważniejszych spraw jest dziś do załatwienia. Wojna, brak ustalonych granic, brak konstytucji, szalejąca drożyzna, paskarstwo, złodziejstwo — trapią dziś stokroć dotkliwiej społeczeństwo, wymagają rozwiązania. Cóż znaczy wobec tego jakiś Sobór, czy parę Soborów?

A przecież... ta drobna i nieważka w życiu realnem narodu sprawa ma doniosłe znaczenie. Ta decyzja Sejmu jest złowroga, bo świadczy brutalnie, że ci posłowie, którzy mają budować podwaliny przyszłości i rozwoju narodu, nie potrafią goręcej czuć, jak przystało na przedstawicieli wolnego i wolność budującego narodu, nie są w stanie reagować na nic, co nie tyczy się bezpośrednio kieszeni, interesów i apetytów przyziemnych.

Wyczuwać hańbę i krzywdę moralną narodu, bronić jego godności — potrafi jeno mniejszość Sejmu, lewica społeczna, przedstawiciele proletariatu i poszczególnie jednostki. Nie wróży to dobrze narodowi, który w takich, jak nasz, znajduje się warunkach.

Polska, o ile nie będzie jej ożywiać duch potężny, nie ostoje się wśród potęg, jej wrogich. A decyzja Sejmu Ustawodawczego w dn. 2 czerwca 1920 roku krzyczy wprost o tem, że tego ducha niema, że większość Sejmu, jak i większość społeczeństwa, to szara, przyziemna, samolubna i tchórzliwa masa.

19.

Niema nic bardziej kruchej złudnego i niepewnego w stosunkach politycznych, jak liczenie na uczucie, na sympatję, lub antypatję, i niema nic szkodliwszego, jak kierowanie się w tej dziedzinie uczuciem. Na arenie dziejowej, zwłaszcza dziś, nie uczucia kierują temi lub innymi krokami politycznymi zorganizowanych gromad ludzkich, lecz interesy życiowe. Uczucia mogą być wyzyskane w ten lub inny sposób, uczucia mogą być skierowane w tym lub innym kierunku, lecz tylko wtedy i o tyle, gdy i o ile mają podkład w bezpośrednich, a zrozumiałych dla mas interesach. Uwagi te nasuwają mi się w związku z przybyciem do Warszawy jednego z wodzów kadetów rosyjskich, Rodiczewa, którego opinia brukowa zalicza do przyjaciół Polski. Nie znam bliżej Rodiczewa i uczuć jego dla Polaków nie badałem. Znam go natomiast z jego wystąpienia politycznych w sprawie polskiej i słyszałem bezpośrednio jego opinie, wypowiedziane publicznie w r. 1916, a więc w czasie, gdy ziemie polskie okupowane już były przez Niemców.

Odbwały się w tym czasie zebrania polko-rosyjskie, na których omawiano stosunki wzajemne obu narodów. Rodiczew, jak wszyscy kadeci, występował przeciwko niepodległości Polski, choć oświadczał się jednocześnie z gorącą sympatją dla niej. Po upadku caratu w r. 1917 tymczasowy rząd rewolucyjny Rosji, w którym brali udział kadeci, uznał prawo Polski do niepodległego bytu, ograniczonego przez sojusz wojskowy. Lecz był to bodaj odruch chwłli i warunków. Cała ideologia kadecka jest nawskroś burżuazyjna, wielkomocarstwowa, imperjalistyczna. Warunki mogą zmuszać kadetów do zmiany gry, słów, lecz nie zmieniają w niczem ich ideologii.

Polska, która nie tylko wyodrębniła się z organizmu państwowego Rosji, lecz prowadzi politykę rozczłonkowania Rosji na samodzielne państwa narodowe, jest bezwarunkowo i będzie zawsze traktowana przez Kadetów, a więc i Rodiczewa, jako wróg śmiertelny. Co do tego nie należy mieć złudzeń. Polityka Piłsudskiego, płynąca z najistotniejszych i najgłębszych interesów narodu polskiego i bynajmniej nie wroga interesom rozwojowym narodu rosyjskiego, godzi w interes wielkomocarstwowy burżuazji rosyjskiej tak samo, jak jest sprzeczna z apetytami niezdrowemi naszej reakcji. I dlatego zabiegi, czynione przez „przyjaciela” Rodiczewa w sferach licznych Jazonów wschodnich w Polsce są wysoce niebezpieczne zarówno dla przyszłości narodu polskiego, jak rosyjskiego.

20.

Poprzez wszystkie czasy i wieki, poprzez wszystkie przewroty i zmiany ludzie zawsze będą wielcy i mali, będą mądrzy i głupi, będą marzycielscy i trzeźwi i t. d. i t. d. Najbardziej demokratyczne formy bytu, najbardziej równe prawa i obowiązki, najbardziej równomierny podział dóbr nie wpłyną w niczem na to, że każda jednostka ludzka będzie inna, odmienna, że ludzkość stanowić będzie tysiące tysięcy odmian i typów. Stanowi to bogactwo, urok życia.

Socjalizm dąży nie do urobienia ludzi na jedną modłę, nie do stworzenia szarej i bazbarwnej, choć sytej i zadowolonej masy, bo to byłoby potworne, a jest nieziszczalne, lecz do wytworzenia warunków, w którychby warunki zewnętrzne, prawa i przywileje grup poszczególnych i klas nie tamowały drogi do pełnego rozwoju.

21.

Jak będzie zrealizowany ustrój socjalistyczny, z tego nie zdaje sobie dziś i nie może zdawać sprawy żaden socjalista. Życie nie da się zamknąć w jakieś z góry określone formy. Na formy bytu, a więc i na ustrój gospodarczy wpływa i składa się cały szereg najróżniejszych czynników. W każdym ustroju gospodarczym tkwią dłużej lub krócej liczne pozostałości okresów i ustrojów poprzednich. To przecież można o ustroju przyszłym, a może, stającym się—powiedzieć napewno, że będzie on również tylko etapem bytu ludzkości, etapem w pochodzie do form nowych, odpowiadających zmieniającej się wiecznie treści potrzeb, środków i stosunków międzyludzkich. Bo formy ustosunkowania się w procesie życiowym

jednostki do ludzkości i ludzkości do jednostki — to niezgłębiony ocean możliwości.

22.

Można różnie zapatrywać się na rolę ludzi wielkich w dziejach ludzkości. Można przypisywać im rolę drogowskazów i dźwigni; można nimi mierzyć okresy dziejów ludzkich; można też uważać ich tylko za wyraz najbardziej wypukły dążeń i prądów danej epoki. Lecz śmieszne byłoby zaprzeczać w ferworze niewielacyjnym ich istnienia. To pewne, że ludzi wielkich rodzą epoki wielkie, przełomowe. I to godziłoby do pewnego stopnia różne poglądy.

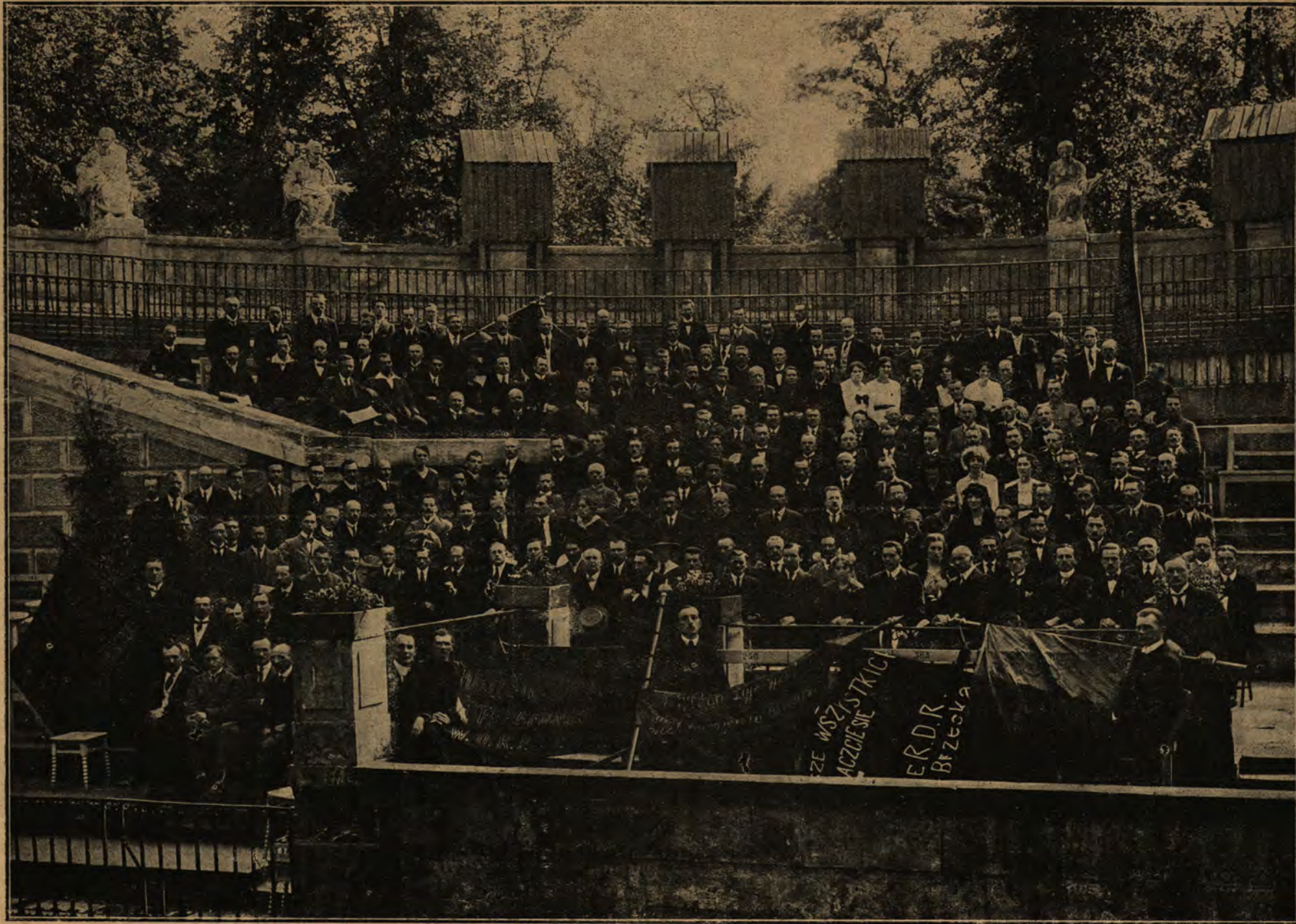
Ludzie wielcy mogą się przejawiać na zewnątrz w różnych płaszczyznach bytu. Mogą to być wielcy artyści, wielcy myśliciele, wielcy wodzowie. Stosownie do płaszczyzny, w której przejawia się ich twórczość i sumy energii społecznej, której są emanacją, pole oddziaływania ich jest różne w przestrzeni i czasie.

Najtrudniejsze zadania spełniają wielcy wodzowie. Rola ich w przestrzeni i czasie jest najdortioślejsza, a wpływ na dzieje najbardziej bezpośredni. Wielcy wodzowie ludzkości — to niekoniecznie wielcy wojownicy, to tylko wielcy kierownicy gromad ludzkich. Forma kierownictwa tego zależy już od warunków zewnętrznych. Wielki wódz może być wojownikiem, może być prorokiem, może być organizatorem życia, a może łączyć dwie, lub wszystkie właściwości razem.

Cechą wielkiego wodza jest to, że nie służy on bezpośrednio nikomu i niczemu, lecz swojej gwiazdzie przewodniej, swemu genjuszowi, swej myśli twórczej. Jest on indywidualnym wcieleniem, emanacją epoki, środowiska. Niesie w sobie prądy przestrzeni i czasu, stanowi ich idealną przekątną. Obleka dążenia, tęsknoty, bóle i marzenia ludzkie w stali czyn, lub system wiary, światopogląd. Tkwi w nim utajona siła potencjalna i czar sugestji, który oddziaływa na wszystkich, którzy mają z nim do czynienia. Posiada on albo bezwzględnych wyznawców, albo bezwzględnych wrogów. W peryferji jego otoczenia niema miejsca na obojętność. Cechuje go nleżłomna wola, pewność i wiara w siebie, które nakazują posłuch.

Bronisław Siwik.





Uczestnicy XVII KONGRESU P. P. S. (Obradował w Warszawie dn. 21—25 maja b. r.).

O EMIGRACJI POLSKIEJ Z POZA OCEANU.

(Od własnego korespondenta).

Przeszło 3 milionowe pochodźtwo w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, wyrzucone na bruk amerykański w olbrzymiej większości w pogoni za chlebem, za pracą, której dawniej zaborca i rodzima reakcja nie dały na ojczystej ziemi — dziś masowo wybiera się do Polski.

Tęsknią tysiące polskich serc chłopca i robotnika do stron swoich, ojczystych po wielu latach, bo czasem po kilkunastu latach tułaczki. Głosy dochodzące z kraju o głodzie i chłdzie, o stanie wojennym i strasznych skutkach wojny — nle przestrasząją polskiego chłopca, który tęsknicą jest trapiiony.

Już setki, a może tysiące pierwsze opuściły niegościnnie brzegi ziemi Waszyngtona. Narażeni na trudności wielkie podczas podróży, na obdzieranie ich z grosza ostatniego przez szarlatanów i zwykłych rzezimieszków-bankierów pokątnych, dostają się oni do ojczystej ziemi, aby choć w daleko mniejszej wygodzie, to jednak wśród swego otoczenia żyć.

Nastrój więc wśród kilkumiljonowego pochodźtwo polskiego określić można, jako silny pęd do wyjazdu, tego pędu nikt nie wstrzyma, choć on tak bardzo jest nie na rękę „opiekunom“ niepowołanym: klerowi, żerującemu tutaj.

Kler i łapichłop przez wiele lat wszechwładnie panoszyli się wśród tutejszego pochodźtwo. Blisko 1000 (tysiąc) parafji rzymsko-katolickich rozsiadło się tutaj i miliony dolarów ściągają tytułem opłat kościelnych na kościoły, plebanje, na życie wystawne i wyzdane kilku tysięcy księży i zakonników. Wszystkie te kościoły — to własność biskupów jedynie. Krwawicą swą stawał chłop polski te przepyszne budowle, które teraz rzuca i oddaje biskupom irlandzkim, niemieckim, czy amerykańkom. Ale obecnie przełom następuje.

Życie kulturalne wśród polskiego pochodźtwo prowadzi obóz socjalistyczny. My, polscy socjaliści, obok roboty nad podźwignięciem ekonomicznym robotnika (pomagania w organizowaniu robotników polskich w tut. związkach zawodowych) i uczenia świadomości o potrzebie walki klasowej, prowadzimy kulturalno-oświatową robotę na naszych placówkach rozsianych po osadach polskich, przez wykłady Polskiego Uniwersytetu Ludowego, przez kluby robotnicze i czytelnie (biblioteki).

W porównaniu z okresem przed 20-tu, i 10-ciu nawet laty — dziś dziesiątki tysięcy robotników dobrze się zapoznają z ruchem klasowym i dążeniami klasy pracującej. Ci ostatni, odjeżdżając z Ameryki, wiozą z sobą doświadczenie z piekła amerykańskiego, oni to staną w szeregach świadomych robotników polskich w ojczyźnie. To nasi ludzie.

Zanim w dalszych numerach powrócimy do skreślenia może bardziej szczegółowo przejawów życia tut. emigracji — dziś zaznaczamy, jako bardzo charakterystyczny rys, że w ciągu zaledwie kilkunastu dni zebrano przeszło pół tysiąca dolarów na prenumeraty „Światła“ i przeszło ćwierć tysiąca prenumeratorów i udziałowców głównie z Chicago. Dawali polscy roboczarze, „boć to dobre pismo, a takiego nam w Polsce potrzeba“. Piszący te słowa otrzymywał po kilka dolarów z zapadłych osad górniczych w Zachodniej Virginji i Ohio od naszych górników, którzy słowa proste dołączali do swych pieniędzy, aby „Światło“ szło w lud i światło niosło, bo go w Polsce jaknajwięcej potrzeba...

Z wiarą pełną w swe siły i z zaufaniem do nas, polskich socjalistów idźcie za słowami jednego z naszych tułaczy górników — Wy, Towarzysze w kraju i przygotowujcie nowe pokolenia na światłych obywateli i towarzyszy.

Zygmunt Piotrowski.

Chicago, Ill. 20 kwietnia 1920.

DO NASZYCH CZYTELNIKÓW I PRZYJACIOŁ W ST. ZJEDNOCZONYCH.

Wszystkim czytelnikom i przyjaciołom naszego pisma z poza oceanu, którzy tylokrotnie okazywali nam swoją sympatię i zachęte, oraz w szczodry sposób przyczyniają się do utrzymania tej tak ważnej placówki kulturalnej, jaką jest „Światło“, wyrażamy serdeczne podźiękowanie!

Redakcja „Światła“.

Wypełnić, odciąć i odesłać do Administracji.

BEZPŁATNE PREMJIUM ARTYSTYCZNE

„ŚWIATŁA“ ANKIETA

Która reprodukcja artystyczna „Światła“ (od zeszytu 1 do 17) najbardziej się podobała czytelnikowi?

Autor

Tytuł obrazu Zeszyt

Jakie inne reprodukcje „Światła“ podobały się czytelnikowi

SPRAWOZDANIE

z działalności Centralnego Biura Kursów dla Dorosłych

15.VIII.1919 — 1.III.1920.

Centralne Biuro Kursów dla Dorosłych powstało przed rokiem z inicjatywy pracowników Kursów dla Dorosłych st. m. Warszawy. Zorganizowanie tej placówki miało na celu zaspokojenie potrzeb i braków, które każdy pracownik oświatowy na tym polu odczuwał, przede wszystkim przez uprzystępnienie szerszemu ogółowi pracowników w tej dziedzinie bogatego materiału, jakim rozporządzają kursy dla Dorosłych. Kursom tym poświęćmy w najbliższym czasie kilka chwil uwagi, obecnie zaznaczę jedynie, iż istnieją one już lat kilka (od 1915 r.), a skrzętnie gromadzony materiał dotyczący ich działalności stanowi poważne źródło do wszelkich opracowań metodycznych.

„Celem Centralnego Biura Kursów dla Dorosłych jest zorganizowanie i zogniskowanie wzajemnej pomocy w dziedzinie pracy oświatowo-wychowawczej, oraz w dziedzinie samokształcenia się dorosłych” — tak głosi statut.

Drogą urzeczywistnienia tych zamierzeń jest pomoc dla wszelkich poczynań w dziedzinie oświaty wśród dorosłych, a więc przy organizowaniu różnorodnego poziomu kursów, wykładów, lub odczytów, wystaw, koncertów, przedstawień teatralnych, wycieczek; zbieranie i opracowywanie materiału metodycznego, przygotowanie niezbędnych podręczników i pomocy naukowych, jak również organizowanie kursów instruktorskich, metodycznych i t. p.

Przewodnią myślą tych poszczególnych poczynań jest — „skupienie jednostek i organizacji przy wspólnej planowej pracy nad wywołaniem głębszych wartości, tkwiących w duchu ludzkim, nad wytknięciem dróg samowychowywania i samokształcenia oraz nad wydoskonaleniem metod działalności oświatowo-wychowawczej”.

Jak się przedstawiają rezultaty działalności Centr. Biura w myśl tych zasad podjętej?

Rozwinęła się ona przeważnie w trzech kierunkach: udzielanie porad, wydawnictwa, organizowanie kursów instruktorskich.

Liczne zapytania skierowane do C. B. wykazały potrzebę podjęcia szeregu wydawnictw z zakresu metodyki nauczania języka polskiego i arytmetyki, jak również wskazówek dotyczą-

cych organizowania kursów dla dorosłych. Przygotowano również II-gi Rocznik Kursów dla Dorosłych.

Kursów instruktorskich odbyło się 4 w Warszawie, jeden w Brześciu, na ten ostatni zjechało się nauczycielstwo kresowe najmniejszych narodowości, a więc: Polacy, Białorusini Żydzi, Rosjanie, Ukraińcy, ogółem w liczbie 79 osób, gdy dodamy parokrotne wyjazdy instruktorów, odczyty i wykłady w innych instytucjach, będziemy mieli całokształt pracy Centr. Biura Kursów dla Dorosłych.

Ze sprawozdania wynika w sposób oczywisty, iż gwałtowną potrzebą chwili jest rozszerzenie tej działalności, że rosące wciąż wśród najszerszych warstw robotniczych i ludowych dążenie do podniesienia poziomu oświatowego, wymaga dobrze zorganizowanej pomocy fachowej.

Na gruncie tej właśnie fachowości stoi Centr. Biuro, nawiązując kontakt z większością instytucji oświatowych z zakresu kształcenia dorosłych. Na zjeździe oświatowym P. P. S. w Krakowie (1919 r.) delegaci C. B. przedłożyli dwie rezolucje, przez zjazd uchwalone: 1) w sprawie konieczności zakładania kursów dla dorosłych, 2) w sprawie fachowego przygotowania działaczy oświatowych.

Centralne Biuro jest jedyną instytucją tego typu, a ścisły kontakt z Kursami dla Dorosłych daje rękojmię nie tylko teoretycznego, lecz przede wszystkim praktycznego rozwiązywania nasuwających się zagadnień. Jest to organizacja ruchliwa, nie skostniała w żadnym szablonie, jest wytworem potrzeb bieżących przy jednoczesnym planowym systematyzowaniu napływającego materiału, stawianiu pewnych założeń i wytycznych, dotyczących całokształtu tej pracy w najbliższej przyszłości. Ażeby podołać tym zadaniom, Centr. Biuro musi rozporządzać znacznymi funduszami, czy to dla zaangażowania odpowiedniego personelu fachowego, czy to dla podejmowania koniecznych wydawnictw, lub organizacji kursów metodycznych. Aczkolwiek Centr. Biuro jest instytucją Społeczną, by swój w znacznej mierze musiał oprzeć na subsydjum państwowem i pomocy miasta. W roku sprawozdawczym otrzymano zapomogi 58,500 mk., miasto zaś udzieliło bezpłatnie lokalu. Zapomogi tej jednakże zaledwie 30,000 przypada na zorganizowanie i prowadzenie instytucji, inne sumy były asygnowane na poszczególne wydawnictwa, lub kursy. Jest to suma tak znikomo mała, że jedynie w znacznej mierze bezinteresownej pracy członków Centr. Biura należy przypisać znaczny zakres działalności.

Jednakże nadal C. B. winno oprzeć pracę swą na mocniejszych podstawach finansowych, w przeciwnym razie nie rozwinię się należycie.

Z chwilą gdy Państwo nie stworzyło instytucji analogicznej, obowiązkiem odnośnych władz jest popieranie już istniejącej, tembardziej iż widzimy ze sprawozdania, że Wydział Oświaty Pozaszkolnej M. W. R. O. P., jak również inne instytucje o charakterze państwowym w licznych wypadkach korzystały z usług Centr. Biura.

Nie zdejmuję to jednak obowiązku z innych czynników społecznych podtrzymania instytucji, mającej na celu zaspokojenie jednej z najbardziej żywotnych potrzeb chwili obecnej.

I. S.

Administracja „Światła“

„KSIĘGARNIA ROBOTNICZA“

WSPÓLNA 17.

WARSZAWA.

<http://rcin.org.pl>

OBWIESZCZENIE.



Ministerstwo Skarbu

zaprasza do podpisywania, uchwalonych przez Sejm Ustawodawczy dn. 27/II r. b.

Dwóch Pożyczek Państwowych

a) Długoterminowej i b) Krótkoterminowej

na warunkach następujących:

POŻYCZKA DŁUGOTERMINOWA będzie spłacona w przeciągu 45 lat od daty wypuszczenia przez wylosowanie jej obligacji.

POŻYCZKA KRÓTKOTERMINOWA będzie spłacona w przeciągu lat pięciu.

Stopa procentowa obydwu pożyczek wynosi 5 od sta.

Przy wprowadzeniu przyszłej waluty polskiej pożyczka długoterminowa będzie przerachowana po kursie o 10% wyższym od kursu, ustalonego dla znaków obiegowych.

Kupony obydwu pożyczek są wolne od podatków od kapitałów i rentowych, można nimi płacić podatki państwowe.

OBLIGACJE POŻYCZEK i KUPONY DO NICH będą przyjmowane narówni z gotówką przez państwowe urzędy przy zapłacie za ziemię, inwentarz i urządzenia, dostarczone przez nie przy przeprowadzaniu parcelacji i innych reform rolnych.

OBLIGACJE OBYDWU POŻYCZEK

mają wszelkie prawa papierów pułplarnych, będą przyjmowane w pełnej wartości nominalnej, jako wadja przy licytacjach, kaucje akcyzowe i celne, kaucje przy zawieraniu kontraktów ze skarbem, kaucje, składane do depozytów wszelkich instytucji rządowych w wypadkach, gdy prawo przewiduje składanie kaucji pieniężnych, oraz będą przyjmowane bez opłaty na przechowanie przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową i Poczтовую Kasę Oszczędności.

Procenty od pożyczki długoterminowej są płatne na podstawie zwrotu kuponów dnia 1 kwietnia i 1 października każdego roku, od pożyczki krótkoterminowej — w dniach 1 stycznia i 1 lipca każdego roku.

OBLIGACJE OBYDWU POŻYCZEK BĘDĄ PRZYJMOWANE przez Polską Krajową Kasę Pożyczkową i jej Oddziały

1) Pożyczki będą udzielane do wysokości 80% nominalnej wartości.

DO LOMBARDOWANIA

2) Pożyczki te są oprocentowane na 5%, rocznie.

Przy wprowadzeniu zamierzonej pożyczki przymusowej obligacje pożyczki krótkoterminowej będą przyjmowane narówni z gotówką po kursie nominalnym (sto za sto), pożyczka zaś długoterminowa będzie zaliczona do pełnej wysokości przy rozkładzie zamierzonej pożyczki przymusowej rentowej.

Obligacje obydwu pożyczek wypuszcza się w odcinkach po: 100, 500, 1000, 5000 i 10000 marek polskich.

Subskrypcje przyjmują wszystkie oddziały Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, Poczтовая Kasa Oszczędności i Urzędy Pocztove, Kasy Skarbowe i Urzędy Podatkowe, Banki Prywatne, Kasy i Instytucje, upoważnione przez Ministerstwo Skarbu.

Do czasu wydrukowania obligacji obydwu pożyczek będą wydawane świadectwa imienne, które będzie można przenieść na inne osoby za zawiadomieniem instytucji, która je wydała. Świadectwom tym przysługują wszystkie prawa, przyznane obligacjom.

Asygnaty Polskiej Pożyczki Państwowej z roku 1918, subskrybowanej w zlocie, będą przyjmowane na wpłaty nowych pożyczek według kursu, ustanowionego przez Ustawę Sejmową z dnia 24 marca przez przyznanie im kursu uprzywilejowanego w czterokrotnej wysokości ich wartości nominalnej.

Ministerstwo Skarbu, wyposażając Pożyczki Państwowe w różne prawa i przywileje, z których nie korzystają inne papiery procentowe, starając się warunki tych pożyczek zrobić jaknajbardziej korzystnymi dla podpisujących, dołoży wszelkich sił, aby zarówno subskrypcję pożyczek, jak i ich spłatę i wypłacanie procentów uczynić jaknajbardziej łatwymi i dogodnymi dla wszystkich.

HUMOR I SATYRA.



Nasz minister „zagraniczny” (p. Patek).

W najbliższym czasie ukaże się z druku
zbiór poezji!

WACŁAWA BUDZYŃSKIEGO

p. t.

„SNY I RZECZYWISTOŚĆ”

nakładem Tow. Wyd. „ŚWIATŁO”.

Walne Zebranie konstytucyjne Tow. Wyd. „ŚWIATŁO”

w drugim terminie

odbędzie się dn. 22 czerwca b. r. we wtorek, o godz.
7-ej wiecz. w lokalu „Robotnika”, Warecka 7.

Obecność każdego udziałowca konieczna.

DO PRENUMERATORÓW „ŚWIATŁA”.

Prosimy o przesyłanie pieniędzy tylko zapo-
mocą przekazów pocztowych lub czeków P. K. O.,
gdyż odbieranie pieniędzy w listach wartościowych
sprawia Administracji wiele trudności i utrudnia re-
gularną wysyłkę pisma.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI.

C. W. — „Ballady” umieścimy.

Bezpłatne premjum „Światła”

Wszyscy prenumeratorzy, którzy wnieśli opłatę
za „Światło” do 1 lipca otrzymają bezpłatnie na do-
brym papierze

Reprodukcję artystyczną

jednego z dzieł, reprodukowanych w „Świetle”.

Reprodukcję tę wybiorą sobie sami czytelnicy
„Światła”.

Do niniejszego zeszytu dołączony jest kwestjo-
narzusz z pytaniami, który każdy czytelnik odetnie
i, po wypełnieniu, odeśle Redakcji.

Który obraz osiągnie najwięcej zwolenników,
ten zostanie odbity na dobrym papierze i rozesłany
bezpłatnie wszystkim stałym prenumerat. „Światła”.

WARUNKI PRENUMERATY, z przesyłką do domu: półrocze I-sze (od zesz. 1 do 1 lipca) — mk. 100,
półrocze II — mk. 120, kwartalnie — mk. 60.

W Administracji miesięcznie mk. 12. Konto czekowe P. K. O. № 798.

CENY OGŁOSZEŃ: za tekstem: Cała strona 2000 mk., — pół strony — 1000 mk., jedna czwarta strony 600 mk. — jedna
ósma strony — 300 mk., — jedna szesnasta strony — 150 mk. W tekście: przed rubryką „Z wydawnictw” miejsce wiersza
nonparelowego — 15 mk.

ADRES: REDAKCJI POLNA № 66, MIESZK. 54; ADMINISTRACJI WSPÓLNA 17.

Redakcja otwarta codziennie od 5 — 6 wiecz. = Administracja czynna codziennie od 10—4 pp.

REDAKCJA: JAN HEMPEL, JAN REMBOWSKI, JERZY SOCHACKI, ANDRZEJ STRUG, ZYGMUNT ZAREMBA.

Redaktor i Wydawca: Z. ZAREMBA. Kierownik literacki ANDRZEJ STRUG. Kierownik art. JAN REMBOWSKI.